

— Niedawno przybyły pierwsze vandiry, o czym wszyscy dobrze wiemy, jednak dopiero teraz zjawiała się nowa pani gubernator — powiedział Kimbruglia, a kreślony przez niego znak Legendum był przerażający, bo skoro taki łajdak i zdeklarowany ateista sięgał do wiary, której się kiedyś wyparł, sprawa musiała być naprawdę poważna. — Znajomy piekarz opowiedział mi, co jego kuzyn zobaczył w porcie przy wyładunku, kiedy przy płynął okręt z vandirami. Mężczyźni byli ubrani w czarny lateks, a dziewczęta były półnagie.

— To Antis — szepnął Ambreli i zaatakował słowem cierpiącego z bólu admirała — Miałeś się rokować z Almanami w sprawie wymiany! Zrobiłeś to już?!

— Skąd! — rajders był tak zajęty własny bólem, że nie mógł kłamać. Nie miał nawet sił, by zganić go za bezczelną odzywkę. — Miałem czekać za odpowiedzią i jeszcze nie nadeszła. Wiedziałem też, że to może potrwać. Wyspy La Branstrom i Almany dzieli kawał morza. Nie wiem, może przywieźli moją dziedziczkę na tym okręcie i jest tu z tą... gubernator.

— Czemu ludzie się awanturują? Jeżeli przybyły vandiry, dopełniona zostaje umowa i niedługo dobrodziejstwa Almanów sprawią, że będzie się nam tutaj żyło lepiej. Nie od razu będzie bajkowo, ale poziom życia wzrośnie.

— Bo znowu będą pod czymś jarzmem — odpowiedziała Harponia, która nie odeszła zbyt daleko, by móc wsłuchiwać się w przebieg rozmowy. — Kiedy przed wieloma, wieloma laty wyspa odłączyła się od Rajder League, chciano się uwolnić od podatków i poborów młodych mężczyzn do wojska, które są we władaniu hetmanów Czterech Stanów. A zaciągi w stanie Archipelagu Lauritierów były zawsze największe z powodu korsarzy i morza. Od niego bowiem zawsze istniało największe ryzyko napaści na Rajder League. My, wyspa La Branstorm, należeliśmy do jednego z tych Stanów, jak wszystkie inne wyspy, należące do rajdersów. Hetmani i ich żądza zdobycia największych wpływów skutkowałą nadmiernymi poborami do armii. To rujnowało rodziny, zatem i ekonomia wyspy podupadała. Ręce, które miały zapracować na jej dobytek, podbijały majątność hetmańskich rodów. To się skończyło, gdy mieszkańcy Branstorm się zbuntowali. Ale opis wojny i niepodległości jest zbyt długi i zbyt ważny, abym mogła go przedstawić w skrócie.

— A czemu to wszystko skończyło się plajtą? Odłączenie się od królestwa Rajder League było chyba waszym błędem?

— Byłego królestwa. Pamiętaj, że dziesięć lat temu ktoś się mocno postarał, by królewska rodzina zesła z tego świata — wtrąciła Harponia.

— Wszystko skończyło się, kiedy z Branstorm odeszli rajdersi — dorzucił Kimbruglia.

— Rajdersi? — Ambreli otworzył szerzej oczy ze zdziwienia. — Przecież to wy się odłączyliście, chyba tu czegoś nie rozumiem...

— Będzie lepiej, jeśli wyjdziemy z naczelnikiem na spacer — westchnął wyczerpany ich niewiedzą Kimbruglia. — Należą się mu chyba obszernie wyjaśnienia na temat tego, co się działo na wyspie. Zrobię to z chęcią, ale w zamian, naczelniku, pójdiesz ze mną sprawdzić, co się dzieje w mieście.

Kifidir zgodził się z dwóch powodów. Handlarz niewolników był znany na całej wyspie i ze strony miejscowych nie groziło mu żadne niebezpieczeństwo. Ambreli

byłby chroniony więc immunitetem, gdyby szedł razem z nim. Po drugie, admirał nie przywiązywał zbytnej wagi do naczelnika i jego strata nie byłaby dla niego druzgocąca.

Wyszli z domu. Ambreli nie był zdumiony, kiedy w ślad za nimi podążyło dwóch marynarzy admirała. Zdjęli poprzecznie przewieszzone przez ramiona pasy z szablami i wzięli je do rąk. Nie mogliby spokojnie poruszać się po ulicy, gdyby mieli pasy przypięte poprzecznie przez ciała. Tak nosili je tylko rajdersi, których od lat nie lubiano na wyspie. Oprócz marynarzy towarzyszyła im jeszcze Harponia.

— Co to jest? — spytał Kimbruglia, wciskając naczelnikowi w dłoń mały, okrągły i płaski przedmiot. — Proszę wyjaśnić d o k ł a d n i e .

— Moneta — odparł Ambreli, dostrzegając wszelkie jej szczegóły, w tym nominał i nazwę pieniądza. — o nominale dziesięciu lirów — Ambreli spojrział na wlepione w siebie oczy handlarza, które zdawały się mówić: „I co z tego?”.

Naczelnik poszukał pomocy u służki, ale ona zajęta była, bez wątpienia celowo, zaplataniem włosów. Doszedł jednak do wniosków bez jej pomocy.

— To pieniądze rajdersów! Dlaczego na wyspie obracacie jeszcze pieniędzmi rajdersów?!

— Bo po oderwaniu się od macierzystego kraju zerwaliśmy wszelkie kontakty. Poza tymi, które wszędzie są najsilniejsze — Kimbruglia wyprowadził ich na ulicę, gdzie jedynym zbiorowiskiem ludzkim byli podwładni admirała. Do pochodu przyłączyła się jeszcze ich trójka. — Pozostaliśmy w koalicji z wpływami tych, którzy obracają górą pieniędzmi, arystokratami z najwyższej półki, których my, wyspiarze, zwiemy kasjerami, gdyż kasują wielkie sumy za swoje interesy.

— Nie odwrócili się od was? — Ambreli z zapałem słuchał jego opowieści, lecz jeszcze intensywniej śledził to, co się rozgrywało dookoła.

Wolał pozostawać za murem, choć z drugiej strony spacer mógł mu przynieść wiedzę na temat bieżących spraw w mieście.

— Nie, bo dobrze tu zarabiali na lokalnych interesach — Kimbruglia był dotychczas postrzegany jako tchórz, zatem fakt, że kroczył chodnikiem zdecydowanym krokiem, pozbawiło naczelnika niepokoju. Przynajmniej w danym momencie.

— Czemu zatem wy ich nie wykurzyliście? — pojawiało się coraz więcej pytań i niejasności — Skoro nie lubicie i nie lubiliście rajdersów, trzeba było ich wypędzić i przejąć ich dobytek.

— Tylko, że oni pozwalali nam zarabiać tyle, ile my sami nie moglibyśmy bez ich wsparcia. Wsparcia rajdersów.

— Trzeba było nie odrywać się od kraju. — Ambreli zamrugał. — Potrzebne wam to było?

— Wolność i niezależność, choćby częściowa, ot co! To się dla nas liczyło.

— Nic nie rozumiem, a nie jestem głupcem — zmieszany Ambreli przystanął, gdyż usłyszał hałas, który dobiegł od strony portu.

To właśnie tam rozgrywał się prawdziwy dramat, przez jaki przebrnąć musiał admirał Kifidir. Ruch protestujących przeciwko władzy skupił się w porcie, najcenniejszym dla miasta miejscu.

— Moźni rajdersi prowadzili u nas różnego rodzaju bardzo opłacalne interesy, gdyż za tutejsze biznesy nasz gubernator nie pobierał od nich podatków, w przeciwieństwie do urzędasów z kontynentu. A branstormczycy pracujący w miejscowych firmach kasjera dostawali wyższe pensje za to, że ich naród nie ścigał podatków i pozwalał tu urzędować rajdersom. To była niezła symbioza.

Ambreli nadepnął lewą stopą na prawy odcisk, aby zsunąć sobie but. Przystanął przy ścianie, a Harponia pospieszyła mu z ofiarną pomocą.

Zrobił to specjalnie, by przedłużyć moment dotarcia do centrum buntu. Chciał najpierw poznać historię do końca, żeby móc się skupić tylko i wyłącznie na pilnowaniu własnej skóry.

— Wszystko bardzo dobrze się układało. Moźni rajdersi żyli u nas jak królowie, prowadzili swoje interesy, a zwykli ludzie mieli pewną pracę na lata — zauważył Kimbruglia ze smutkiem, uzmysłowiwszy sobie, że to były dobre, ale też i stare, czasy. Ale nie mówmy o kasjerach i o biznesach. Pytałeś przecież, czemu mamy biedę na wyspie?

— Zgadza się — Ambreli był zły na służkę za jej usłużność, choć sprawiał jej schowaną w skarpecie stopą tyle trudności, ile tylko mógł. — Zresztą bieda to bezpieczniejszy temat do dyskusji niż pieniądze. Jeszcze ktoś by pomyślał, że je mamy, skoro ciągle o nich rozmawiamy.

— Otóż: La Branstorm to wyspa. Zatem towary kupowane przez rajdersów, a nieraz także duże sumy pieniędzy, muszą przebyć morze — handlarz nie ruszał się z miejsca i nawet oparł się o słup, na jakim kiedyś, zanim nastaly czasy biedy, zawieszona była lampa. On także uznał, iż lepiej nie wchodzić w rozwścieczony biedą tłum z dyskusją o pieniądzach na ustach.

— Po odłączeniu się od Rajder League flota państwa przestała nas jednak chronić przed rozbójnikami morskimi. Miejscowi arystokraci, z których najpotężniejszym był Spaletin, poradzili sobie z tą niedogodnością, werbując swoje własne armie najemników.

— Mieli z czego je zwerbować, skoro byli bogaci, a wy przecież zwaliście ich kasjerami — Ambreli skinął potakująco głową, udzielając się po to, aby ujawnić swoje podejrzenie.

— Słusznie zauważyłeś — Kimbruglia poklepał go, a biedny naczelnik nawet nie mógł pozbyć się jego spoconej dłoni z pleców, gdyż nadal musiał udawać niesprawnego. Jak dotąd tylko przed Harponią się zdradził. Stało się to wówczas, gdy chciała go zaciągnąć do łóżka. Był wtedy tak zdezorientowany jej lubieżną postawą, iż zapomniał ją poprosić o milczenie w tej sprawie.

— Sytuacja była więc ustabilizowana — kontynuował Kimbrugli, zabierając dłoń z ramienia naczelnika. — Zarówno ludzi z wyspy, jak i arystokracji rajdersów, którzy przez to, że stale tu przebywali, byli taktowani jak miejscowi. Ale ich pobyt nie wynikał z sentymentu do wyspy. Chcieli, zresztą tak samo jak Branstormczycy, uchronić się w ten sposób przed bezpośrednimi wpływami ze strony władz Rajder League. Władze wyspy zaś jadły kasjerom z rąk. A to, co wysrali arystokraci, kolejni gubernatorzy brali niemal z wdzięcznością.

— Kiedy to się skończyło, wyspa upadła? Ale czemu ten cały Spaletin i reszta zrezygnowali, skoro się im powodziło?

— Harponia wspomniała wcześniej o hetmanach, związanych z rozłamem wyspy i państwa. Otóż hetman stanu Lauritiery, Decaro Hudston, podpadł w Rajder League. Nie jest ważne, o co poszło, ważne są skutki, ponieważ są widoczne do dziś. Decaro stał się jakby przestępcą w oczach prawa rajdersów, zwłaszcza tych zasiadających we władzy. Hetman czuł się zaś oszukany i przestał bronić pasma morza, które od wieków bronili hetmani tego stanu. To przyczyniło się do zwiększenia liczby piratów, którzy napadali na statki. Również te należące do arystokracji. Najemnicy Spaletina zaczęli zapuszczać się coraz dalej na obce wody, by eskortować okręty. Z piratami sobie radzili, lecz wkrótce zbójnicy morscy zyskali sojusznika, który przerósł siły najemników. Był nim Decaro Hudston. Hetman zgarnął gigantyczną sumkę pieniędzy Spaletina i innych rajdersów. Wkrótce przestali płacić mieszkańcom i ludzie zaczęli dochodzić swoich należności. Podwładni Spaletina nie mieli z czego im wypłacać. Jeszcze gorzej było z innymi rajdersami. Wkrótce rozszoszony wiecznymi obietnicami wydania odpowiedniej ilości lirów tłum spalił ich domostwa. Rodziny rajdersów zginęły w ogniu. Całe rodziny. Tak właśnie nasze finanse poszły na dno. Przeżyło niewielu, w tym sam Spaletin, który uciekł na jednym z okrętów.

— Hm... pasjonująca historia — stwierdził Ambreli i ruszyli dalej na znak handlarza.

— Moi rodzice popadli w długi przez kasjerów, bo płaciliśmy wtedy drogi czynsz, a przychody rodziców nagle zmalały. W znacznej mierze przyczyniły się do tego ataki piratów na statki — gorzko westchnęła Harmonia. — Wyrzucono nas z domu, kiedy ojciec stracił pracę w zakładzie krawieckim bogatego rajdersa. Bieda nas wykończyła, a ponieważ matka miała maleńkie dziecko, czyli moją siostrę, wpadli na pomysł, żeby mnie sprzedać. I zrobili to. Sprzedali mnie mojemu obecnemu panu.

— Powinnaś się cieszyć, gdzie miałabyś lepiej niż tutaj? — rzucił ostro Kimbruglia zwilżając językiem suche, wydatne wargi. — Mogłem cię przecież sprzedać do burdelu.

— Co się stało ze Spaletinem i Decaro? — spytał Ambreli, nasłuchując jednocześnie dobiegających z daleka odgłosów protestujących.

— Minęło zaledwie kilka lat od tych zdarzeń. Hetman nadal robi interesy z piratami, a Rajder League jest podzielone. Rajdersi za bardzo boją się jego wpływów, by wszystko ukrócić. Spaletin stracił wiele pieniędzy, ale jeszcze więcej nerwów, bo zrezygnował z interesów, choć miał jeszcze przedsiębiorstwa w Rajder League. Zmęczyło go i zraziło do robienia interesów to, co się działo na morzu. Dziś jest kólem królów w Escarialu i wie dzie mu sie jeszcze lepiej niż u nas.

— Escarial to stan Rajder League, w którym żyją vandiry, mające obywatelstwo rajdersów, o ile dobrze pamiętam — naczelnik zatrzymał się, co zatrzymało też pozostałych.

Gromada ludzi zbuntowanych przeciw przejęciu władzy przez mroczne elfy znajdowała się na końcu ulicy, na wysokości katedry Legendum. Rozjuszony tłum

szedł, demolując przy tym ściany budynków. Przewodziło mu zaś kilku młodych zapaleńców z wysoko uniesionymi pałami.

— Idziemy odwiedzić władzę! — krzyczeli, a wrzawa za nimi nawet na moment nie cichła.

Narzędzia codziennej pracy zamieniły się w oręż. Były noże, proce, młotki i piły do drewna, a nawet zwykłe kamienie.

— Tak. Spaletin też jest vandirem — Kimbruglia potwierdził przypuszczenia naczelnika, gdy ludzie przed nimi zniknęli za zakrętem. — Wprowadził w Escarialu życie bez pieniędzy, gdzie wszystko jest wspólnotą wszystkich. Jego wyznawcy wierzą w nastanie sprawiedliwości i zniszczenie rasizmu. Ich wiara łączy w sobie Jasność i Legendum. Są dumni z tego, że Jasność stworzyła Lanian, z których się wywodzą, ale jako wykluczeni z ich wspólnoty identyfikują się też z Legendum, Wielkim Magiem, który zwrócił uwagę na ludzi-rajdersów, obojętnych innym Wielkim Magom.

Kimbruglia zaczął prowadzić swoją grupę do przodu. Szli w całkowitym milczeniu. Minęli aleję, którą można było się dostać na rynek. Widzieli na jej końcu zgromadzonych nieopodal Ambony Chmur ludzi. Było ich dużo, liczby spokojnie szły w setkach. Był to zatem poważny bunt i vandiry, jeżeli chciały mieć z wyspy jakiś pożytek, musiały go powstrzymać. W ogólnym zamieszaniu nie szło wychwycić, czyjej śmierci chcieli, ale przekleństwa i unoszone w górę ostre przedmioty informowały o pragnieniu wysłania w zaświaty jakiegoś wysoko postawionego urzędasza.

Kimbruglia zatrzymał marynarza, który zmierzając na rynek przecinał ulicę w poprzek. Musieli się znać, bo tamten, początkowo bojowo nastawiony w stosunku do zaczepiającego go mężczyzny, rozpoznał handlarza i wstrzymał się z rękoczynami. Padły pytania o bieżące wiadomości.

— Gubernator miasta chciał zwiać okrętem, gdy tylko donieśli mu o zbliżającym się okręcie z Almanów — odpowiedział porywczo mężczyzna. — Chciał się wymknąć jak tchórz, bo wie, co zrobią mu miejscowi, kiedy wraz z przybyciem vandirów przestanie sprawować władzę.

— I to jest przyczyna całego zamieszania? — Kimbruglia począł nerwowo bębnić palcami o guziki swojej szaty.

— Ktoś z kręgu gubernatora wsypał go i doniósł ludziom. Ci się wściekli. I słusznie! To gubernator odpowiada za stan majątkowy mieszkańców. Zablokowaliśmy port, aby nie miał do niego dostępu. Pobiliśmy też jakichś rajdersów, którzy się zjawili. Niestety, wymknęli się nam. Może to najemnicy, po jakich posłał gubernator? — człowiek wziął wdech, przełożył ciężki obusieczny młot z ręki do ręki i przyjrzał się po kolei grupce handlarza niewolników.

Marynarze admirała odruchowo zwiesili głowy, by ich nie rozpoznano.

— Ta świnia była już w połowie drogi, kiedy nasi na niego naskoczyli. Gubernator nie ośmielił się zaryzykować przeprawy przez barykadę, bo bał się o swoją skórę, więc cofnął się do Ambony Chmur.

— A vandiry? — spytał szybko Ambreli.

— Są jeszcze na pokładzie okrętu.

Wszyscy instynktownie obejrzeni się na port, po czym znowu odwrócili i skupili wzrok na poczerwieniałym z podniecenia, a pewnie też i od alkoholu buntownika, który potrząsając swoim orężem, kontynuował:

— Trzęsą portkami i spódniczkami. Im też się może dostać, jeżeli rozochocony pokonaniem gubernatora tłum zechce też uporać się ze świeżo upieczoną panią gubernator.

Napięcie rośnie. Bojownik nie oddalił się, choć rozmowa została zakończona. Czyżby kogoś rozpoznał? Przypatrywał im się dostatecznie długo. Sytuacja stała się poważna. Harponia podniosła rękę Ambreliego i schowała się pod jego ramieniem, żałując wyjścia na spacer. Inni mieli podobne odczucia.

Ruch młota nie był dokładny, ale słowa człowieka precyzyjnie wyraziły, o co mu chodziło.

— Twoi najemnicy mają niezłe wyposażenie. Samostrzały i szable przydałyby się nam w tej słusznej sprawie. Czemu się do nas nie przyłączysz?

— Nie będę walczył z vandirami — odpowiedział ze sztucznym uśmiechem Kimbruglia. — Dostarczyli mi tylu niewolników, że sam przez całe życie bym tylu nie zdołał zgromadzić. A niewolnik równa się pieniądź. Poza tym nie mogę się dostać do portu, do mojego miejsca pracy.

— Nie masz po co tam iść.

— Jak to?! — handlarz ściągnął brwi. — Chcę sprawdzić, czy moi niewolnicy nie puciekali w całym tym zamieszaniu. Nie mogę sobie na to pozwolić.

— Nie ma ich tam — młotem wskazał napierw port, a następnie machnął w stronę rynku, i to tuż przed twarzą Kimbrugli, który cofnął się, by uniknąć uderzenia orężem. — Uwolniono ich i przyłączyli się do nas. Mężczyźni, kobiety i dzieci. Teraz walczą także o swoją wolność.

— Co?! — Kimbruglia złapał go za koszulę i pociągnął z werwą, rozrywając szwy w kiepskim materiale koszuli buntownika. — Tyyy...!!! Wy bando kretynów!

Zaczęli się przepychać. Młot podniósł się w górę. Kimbruglia był zdany tylko na siebie, bo marynarze admirała nie ruszyli mu z pomocą, ale też nie pozostawiali bierni. Otoczyli walczących i pilnowali, by nikt z rynku nie dostrzegł bójki.

Młot świsnął tuż koło twarzy Kimbruglii, a trzymający go buntownik stracił równowagę pociągnięty do przodu przez swój oręż. Kimbruglia walnął go wtedy z obu rąk w kark i tamten padł na ziemię. Szybko jednak podniósł się do pozycji pionowej. Kolejny cios handlarza otarł się o czubek jego głowy, muskając na nim tylko włosy. Kopniak w krocze był na tyle mocny, że Kimbruglia zapiszczał i zgiał ciało w pół, chwytając się za swoje przyrodzenie.

Któryś z marynarzy admirała zrozumiał, że należy wkroczyć do akcji. Jego szabla przebiła ciało buntownika, którego ciało upadło bez śladu życia na ziemię.

Należało teraz jak najszybciej opuścić ulicę i wrócić w obręb murów posiadłości, gwarantujących jako takie schronienie. Marynarze podnieśli Kimbruglię. Szybkie pokonanie ulic było zadaniem kluczowym, by uniknąć niebezpieczeństwa. Prędej czy później ktoś przecież zobaczy trupa na ulicy.

Szło gładko, dopóki wszyscy trzymali się razem. Harponia nie wytrzymała jednak presji i porwała się do biegu, nie czekając na opóźnionych ciągnięciem

handlarza mężczyzn. Na skrzyżowaniu ulic prawie wpadła pod koła wozu, którym w stronę rynku podróżowała grupa uzbrojonych mężczyzn. Koń prychnął, skręcając w bok, a woźnica posłał w jej kierunku stek wyzwick. Skończyłoby się tylko na wyzwickach, gdyby bojownicy nie ujrzeli grupy uzbrojonych mężczyzn, zmierzających w kierunku oddalonym od portu i rynku. Zrozumieli, iż to nie byli „swoi”. Zaczęli kolejno wyskakiwać z wozu, zgarniając po drodze prowizoryczną broń. Marynarze admirała wyciągnęli krótkie samostrzały.

— Na rynku to usłyszą i wtedy będą oblegać także posiadłość Kimbrugli — warknął Ambreli, sięgając ręką po broń najbliższego ze strzelców.

Sam Kimbruglia przyznał rację naczelnikowi. Marynarze schowali więc broń palną i wyciągnęli szable. Atakujący ich ludzie zostawili wóz pusty, bo nawet woźnica pofatygował się ruszyć za nimi. Na szczęście żaden z mężczyzn nie pomyślał, by zaalarmować tych na rynku. To była dobra wiadomość dla Ambreliego i jego przymusowych sojuszników. Buntownicy, mimo liczebnej przewagi, zostali jednak pokonani. Zabrakło im wyszkolenia i dobrego wyposażenia, jakie mieli marynarze admirała.

— Harponio! — po krótkiej, acz treściwej i wygranej przez grupę Kimbrugliego bijatyce, w której padło ośmiu buntowników, Ambreli rzucił się w kierunku wozu, przy którym leżała skulona dziewczyna.

Naczelnik nie miał pojęcia, czy przypadkiem któryś z tych ludzi nie zabił jej, gdy szarżowali do ataku. Dopadł do niej, a wtedy dziewczyna poruszyła się i spojrzała w górę. Harponia była wystraszona, ale nie wyglądała na raną, więc naczelnik się uspokoił.

Bez większych przeszkód wrócili do posiadłości i na polecenie Kimbrugli wszyscy stojący przed bramą ludzie mieli wejść do środka i zabarykadować na wszelki wypadek wejście. Wewnątrz nie było wcale sympatyczniej. Kifidir został opatrzony, ale ponieważ zawsze był cholerykiem, bolesna rana sprawiła, że zrzędził i wrzeszczał jeszcze bardziej niż zwykle. Taku i akuszerka, którzy zostali niejako uwięzieni przez bunt w domu, nadal nie mogli przyjąć porodu.

Wszystkie te nieszczęścia wieńczyły przygotowania do walk na zewnątrz.

— Jestem zrujnowany! — załamany Kimbruglia usiadł na ławce, nie mając nawet siły, by pójść do domu.

Ciągle trzymał się za krocze, które boleśnie dawało o sobie znać po silnym kopniaku buntownika z portu.

— Przynieście rumu! Dużo rumu! — krzyknął w przestrzeń.

— Ale się narobiło — Harponia zapomniała się całkowicie z powodu wstrząsających wydarzeń i usiadła obok niego, jakby byli sobie równi. — Jak Legendum może do tego dopuszczać? Czemu nikt, żaden z arbitrow, kapłanów naszej wiary, nie przemówi tej tłuszczy do rozsądku i nie natchnie do właściwych działań?

— Gdyby Legendum potrafił naprawdę nawracać grzeszników z tej niewłaściwej drogi, wtedy natchnąłby ich duszę dobrem, a nie posługiwał się swoimi wiernymi do tej brudnej roboty — stwierdził Ambreli, wtykając sobie wykałaczkę w usta.

— On dał wolną wolę — chociaż szorstki głos Harponii nie brzmiał w ten sposób, jakby miała do niego zastrzeżenia za krytykę jej wiary, był w nim żal.

Zupełnie jakby wcześniej liczyła na to, że można naczelnika zreformować na Legendum, a teraz uświadomiła sobie, że jest to niemożliwe.

— No to ją masz, wolna wola aż ich rozsadza — Ambreli wypluł z ust drewnienko, gdy ujrzał zajmującego się sznurem marynarza.

Wyczuł, co się święci.

— Nie róbcie mi Uchwytu Zobowiązującego Poddaństwa. Przydam się wam pełnosprawni, a i tak nie mogę stąd uciec. Chyba, że tylko po to, aby natknąć się na buntowników lub vandiry. W obu przypadkach te spotkania nie będą należeć do przyjemnych.

Takku wyparował nagle z pokoju ściągając z dłoni gumowe rękawiczki. Któryś z marynarzy nakazał mu iść za sobą, jeżeli miał jakieś informacje dotyczące porodu. Instruktor zrobił to, gdy zobaczył, iż ręce proszącego go marynarza spoczywały na rękojeści szabli.

Ambreli ruszył za nimi, nie chcąc przegapić niczego, co wiązało się z Sentylią, a za nim podążyła Harponia, otrzepując jednocześnie spódnicę z zagarniętego z ulicy kurzu. Kimbruglia został na ławce, widocznie uznawszy uzalanie się nad własną dolą za coś godniejszego uwagi.

Nim naczelnik i służka dotarli do pokoju admirała Kifidira, rozmowa już trwała. Nie chciał pytać i wtrącać się, wsłuchał się zatem w ich słowa.

— Skurcze macicy stają się coraz słabsze, dziewczyna nie ma praktycznie sił na to, by przeć — Takku podrapał się po czole, a najwymowniejszym dowodem trudnej sytuacji w pokoju porodowym były lateksowe rękawiczki umazane krwią, które trzymał w drugiej dłoni. — Widzimy już jednak główkę, która zdołała przejść jeszcze w trakcie nasilonych skurczów. Musimy jednak jej pomóc, bo inaczej nie zdoła urodzić.

— To znaczy? — Kifidir podniósł się na posłaniu, nie zważając na ból w nodze. Przytrzymał się w tej pozycji, aby móc skonfrontować swoje spojrzenie ze spojrzeniem instruktora szkoły rodzenia. — Co zamierzacie zrobić?

— Użyjemy kleszczy — Takku pokazał dłonią gest, jakby zamierzał kogoś podrapać. — Dwie metalowe łyżki przyłożymy do główki maleństwa i będziemy je przesuwając do przodu w trakcie skurczy.

— Czyli będziecie wspomagać jej pracę rodzeniem, tak? — Ambreli szarpnął się za brodę. — To nie jest jednak bezpieczne, jak sądzę.

— Każda sekunda jest teraz bardzo ważna. Sytuacja jest naprawdę poważna, niezależnie od tego, czy zastosujemy tę metodę, czy nie — Takku założył rękawicę, co znaczyło, że zaraz zamierzał odejść, aby podjąć próbę uratowania dziecka i Sentylii. — Kleszcze dają jednak nadzieję, która teraz ucieka. Kto podejmuje decyzję? — wskazał palcem na naczelnika i uśmiechnął się anemicznie. — Ty jesteś jej mężem, czy kim tam jeszcze?

— Ja decyduję — wtrącił się Kifidir, zaskakując tym samym Takku i burząc porządek, który sam ustalał na początku, mówiąc naczelnikowi, aby grał męża lub

kochanka Sentylii. — I daję wam zgodę na to, byście robili wszystko, co jest w waszej mocy, aby uratować dziewczynę i jej dziecko.

— Zrobimy, co tylko można — zapewnił formalnie Takku, a stojąca w progu Harponia wykonała gest Legendum, chcąc włączyć do wszystkiego jeszcze moce duchowe.

— Macie zrobić jeszcze więcej! — admirał sprawiał wrażenie nieufnego wobec wiary i fachowości ludzkiej. — Chcę tam być w trakcie rozwiązania, aby móc ewentualnie oskarżyć was o partactwo.

Przesunął nogi po pościeli z zamiarem posadzenia ich na podłódze, ale w połowie manewru na jego twarz wystąpił grymas. Z wrzaskiem opadł na poduszki.

— Nie wszystkie porody przebiegają sprawnie. Powikłania zawsze były, są i będą — rzekł Takku. W tym samym momencie rozległ się grzmot zwiastujący burzę.

Był on przeciągły, jakby przeszedł przez powietrze, a później, chcąc dokończyć swoje dzieło, wydał głuchy pomruk po uderzeniu w ziemię.

— Gdy padają takie słowa i dodatkowo nadchodzi nawałnica, można się spodziewać, że to zwiastun niespokojnych godzin — przemówiła Harponia z nabożną czcią, jakby wiedziała to z doświadczenia.

Admirał spiorunował ją obłądnym spojrzeniem, wystraszyła się więc i dodała:

— Ponoć. Tak mówią.

— To zwykłe bzdury — Takku obalił jej tezę bez cienia uprzejmości, z jaką zwykle odnosił się do kobiet w szkole rodzenia.

Był niezadowolony, a powodem tego stanu rzeczy musiała być odpowiedzialność za ewentualne błędy przy kierowaniu porodem. I nie chodziłoby tylko o zszarganą oskarżeniami i procesem reputację.

— Idziemy rodzić — admirał przywołał marynarzy, którzy ze swoich przedramion wykonali koszyczek dla dowódcy.

Kifidir nie przestawał sapać, burczeć i chrząkać niczym wieprz, a jego oblicze przypominało w tej chwili upiory z malowideł.

Pochód wyszedł na korytarz. Takku wyprzedził ludzi zmagających się z kapryśnym admirałem, aby powiedzieć akuszerce o zgodzie na użycie kleszczy. Ambreli nie został przepuszczony i musiał wlec się za Kifidirem. Rajders kłął, narzekał i ciągle powtarzał podwładnym, aby uważali na jego nogę.

Gdy znaleźli się przed porodówką, naczelnik musiał przyjąć do wiadomości, iż nie będzie mógł tam wejść, a stawianie się Kifidirewi nie miało sensu. Ten miał więcej atutów po swojej stronie, łącznie z najważniejszym: z czasem, a admirał nie dawał zgody na użycie kleszczy, póki nie znajdzie się przy rodzącej. Nie wszedłby do środka, gdyby naczelnik się nie odsunął.

— Napij się — zaproponował Kimbruglia, unosząc w górę butelkę.

Jego uprzejmość jednak nie wynikała sama z siebie. Był już bowiem tak pijany, że nie wiedział co robi.

— Nnno... chodź... chodź — niewyraźnie powtarzał handlarz niewolników.

Ambreli przyjął propozycję, a Kimbruglia podzielił się z nim nowinami, które otrzymał od przybyłego właśnie z miasta służącego.

Sprawy w Branstorm nie wyglądały najlepiej, choć z pewnością mogło być gorzej. Przed Amboną Chmur umieszczone zostało działo i to ono pohamowało tymczasowo ciżbę przed wdarciem się do budynku. Tej nocy schowani w budynku rządowym ludzie mogli odetchnąć, ponieważ mieszkańcy miasta rozpalili ogniska i zaczęli świętować, nie żałując sobie alkoholu i zabawy, czyli ostatnich dóbr, jakie im zostały. Plac wokół wysokiego budynku ludzkie gubernatora zablokowali wozami, a wyposażeni w kilka długich samostrzałów i mieczy najemnicy trzymali warty. Na rynku w odległości nie większej niż czterdzieści metrów od nich wznosiła się druga buntownicza barykada. Buntownicy ciasno oblegali pierścieniem Ambonę Chmur, trzymając w szachu ustępującego gubernatora, jego żonę i cztery córki. Mogli jednak sami zostać uwięzieni w pułapce, jeżeli tylko vandiry zechciałyby dokonać szturm z okrętu na port, a później, po potencjalnej wygranej, pójść z odsieczą na miasto.

Kimbruglia nie przerywał opisu wydarzeń nawet wtedy, kiedy dochodziły do nich krzyki cierpiącej Sentylii. Naczelnik jednak przestawał wówczas słuchać i spoglądał w stronę drzwi zastawionych przez wartę, pociągając jednocześnie alkohol z butelki.

Nagle do krzyków dochodzących z porodówki dołączył płacz dziecka. Ambreli podniósł się i ruszył w kierunku drzwi. Marynarze przepuścili go, gdy w tym samym momencie drzwi się otworzyły i ukazał się w nich Takku. Nie wyglądał na zadowolonego, a przecież słychać było płacz wcześniaka, co znaczyło, że maleństwo żyło.

— I co? — zapytał naczelnik, próbując jednocześnie przepchać się przez marynarzy, ale ich wystawione łokcie poobiły go trochę, nim się w końcu poddał. — Mów, na Legendum!

— Sentylia utraciła znaczną ilość krwi — Takku spuścił wzrok i westchnął. — Nie możemy jej zatamować. Potrzebna byłaby transfuzja, ale my jej nie przeprowadzamy. Tylko rajdersi ją wykonują.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Ona umiera — wtrącił Kimbruglia, który znalazł się tuż za naczelnikiem.

Oddech pijanego mężczyzny ogrzał Ambreliemu kark, lecz wypowiedziane przez niego słowa zmroziły całą resztę ciała naczelnika. — Znam taki przypadek. Dotyczył mojej szwagierki. Rodziła córkę wieprza, który wydymał ją w rowie po balu, na jakim zalała się prawie w trupa, a po dziewięciu miesiącach przyplącała to własnym życiem.

Ambreli zdołał się w końcu przepchnąć między marynarzami i dzięki temu znalazł się w pokoju. Sentylia spoczywała na łóżku. Na białym pościeli dostrzegł sporych rozmiarów plamę. Akuszerka z dzieckiem na ręku chodziła tuż obok. Jeden z marynarz schładzał czoło Sentylii wilgotną szmatką, a dwóch innych podtrzymywało pochmurnego Kifidira. W czterech ścianach panowała ponura atmosfera.

— Sentylio? — Ambreli, nie przejmując się obecnymi w pomieszczeniu ludźmi, podszedł do łóżka. Kiedy to zrobił, musiał przyznać, że dziewczyna nie wyglądała dobrze. Była jednak przytomna, więc powtórzył: — Sentylio?

Dziewczyna uniosła przymrużone powieki. Na widok naczelnika uśmiechnęła się karykaturalnie. Miała czyste i niesamowicie wymowne spojrzenie, co szczególnie kontrastowało z jej wymęczonym obliczem poprzecinanym bruzdami.

— Proszę mi powiedzieć, czy to prawda — powiedziała szeptem. — Ta ucieczka z Almanów, wejście do portalu i złapanie mnie w pnącza nadprzestrzeni. Czy to była prawda?

Przygnębiony Ambreli skinął tylko głową, co wystarczyło za odpowiedź. Sentylia jęknęła bardziej niż z bólu z rozpaczy nad przeżyciami, które nie były wyłącznie koszmarem.

— Co z moim dzieckiem? Jest w nim Pan Krwi?

— Dziecko? — Ambreli przeniósł wzrok na akuszerkę, która kołysała ramionami, by uspokoić stale kwilące, lecz już zdecydowanie spokojniejsze niemowlę. — Ono jest... chyba zdrowe?

— Jest okazem zdrowia — rzekła wesoło akuszerka i odwróciła się do łóżka.

Mała różowa główeczka z czarnymi loczkami znajdowała się ponad połami ręcznika, jakim maleństwo zostało owinięte.

— A to co ma niby być? — palec naczelnika powędrował w stronę szczytu główki dziecka, lekko zdeformowanej i zaczerwienionej. Nie zdecydował się jednak na dotknięcie czegoś równie kruchego i delikatnego. — Czy to może być objaw wejścia w niego Baltizaura? — odwrócił się do admirała, aby ten podzielił się z nim swoją opinią.

— Nie wiem?! — rozłoszczony Kifidir nie był osobą kompetentną do wygłaszania wyroków w sprawach, w jakich jedynie vandiry mogły się wypowiedzieć z nieomylną precyzją. — To jest osobliwość, jakiej nigdy do tej pory nie spotkałem, więc może być tak, jak twierdzisz — podrapał się po czuprynie, gdzie jasne pasma włosów mieszały się z ciemnymi. — To może być znak, iż w tym ciałku jest wielka dusza.

— Co wy opowiadacie? — Takku zbliżył, by zrobić kilka głupawych min do maleństwa. Dziecko najwyraźniej przestraszyło się, gdyż zaczęło głośniejsz płakać. Akuszerka odepchnęła Takku.

Instruktor, niezrażony niepowodzeniem, dodał luźno:

— Jest to spowodowane kleszczami, ale za kilka dni nie powinno być najdrobniejszego śladu.

— Oby — szepnęła Sentylia, składając ręce na swojej piersi.

Jej podkrążone oczy nieprzerwanie skupiały się na dziecku.

— Czy mogę go potrzymać?

Akuszerka niezwłocznie przekazała jej maleństwo, układając pieczołowicie ruchliwe ciałko z okrywającym je ręcznikiem na unoszącej się ciężko piersi matki. Sentylia ucałowała dziecko w czółko, przesuwając dygoczącą dłoń po miękkim materiale, osłaniającym jej potomka.

— Będę go nazywać Olimpiam, po prawdziwym ojcu Enisa — rzekła dumnie, obdarowując dziecko jeszcze jednym matczynym pocałunkiem.

Jej wzrok z oddaniem przypatrywał się kruchej rączce, która powędrowała do małej buzi, by ją possać.

— Kiedy się z nim spotkam, wtedy wspólnie ustalimy, jakie imię powinien nosić nasz syn.

— Syn? — akuszerka, która zajmowała się sprzątaniem swoich narzędzi, przerwała pracę i spojrzała na świeżo upieczoną matkę. — Ależ to jest dziewczynka!

Kifidir parsknął. Ambreli wytrzeszczył oczy ze zdumienia, a Sentylia znieruchomiała, nawet nie próbując dochodzić, czy kobieta mówiła prawdę. Akuszerka nie miała przecież powodu ich zwodzić. Dziecko Sentylii i Enisa było płci żeńskiej!

— Jeżeli tam w tym drobnym ludziku jest Baltizaur, musi być nieźle wkurwiony, że przyszło mu ponownie przyjść na świat jako baba — Kifidir puścił przytrzymujących go rajdersów i po dwóch podskokach na jednej nodze dostał się do łóżka, na którym wręcz musiał usiąść.

— To nie jest ludzik! — Sentylia została przez niego zmuszona do podwinięcia swoich nóg, co w jej stanie wycieńczeniu nie było wcale łatwe. — I nie ma w nim tego wrednego vandira!

— Jest tam, czy go nie ma, to kwestia, jakiej my nie rozwiążemy — Kifidir beczelnie wzruszył ramionami w jej kierunku.

Jeszcze mniej przyjemnie potraktował akuszerkę, gdy wymierzając w nią skwaszone spojrzenie rozkazał jej wyjść.

Takku zabrał półmisek z odciętą pępownią i ruszył za kobietą. Pokój opuścili też najwierniejsi marynarze admirała.

— Teraz, gdy jesteśmy w gronie osób zaznajomionych ze sprawą, trzeba uzgodnić, co zrobimy. A raczej, co zrobię ja, a do czego wy się dostosujecie.

— Czego ode mnie chcesz? — Sentylia instynktownie, w geście obronnym, przytuliła do siebie dziecko, które z logicznych przyczyn nie mogło nawet tymczasowo nosić męskiego imienia. — Ona nie ma w sobie złej duszy! Ja to czuję! Nie masz więc interesu w tym, aby nas przetrzymywać.

— Ciebie oddam vandirrom w zamian za Polandrię, dziedziczkę korony królewskiej mojego kraju, a dziecko zachowam dla siebie, by Baltizaur nie wpadł w ich łapy — nakreślił swój plan Kifidir, którym uraczył już kiedyś naczelnika Ambreliego, jedyne go świadka ich rozmowy.

— Niiieee! — załkała Sentylia, tuląc dziecko w jednej ręce, a drugą próbując zamachnąć się w stronę admirała, który z uśmiechem kogoś niedorozwiniętego umysłowo cieszył się jej niemocą i rozpaczą. — Nie zrobisz tego! Nie możesz tego zrobić!

— Tylko mnie zawdzięczasz to, że nie jesteś w niewoli u vandirzycy Lorelei. Pamiętaj, że to ja uwolniłem cię z Czerwonej Loli, z rąk tych fanatycznych półnagich dzikusów — wrzeszczał Kifidir na krawędzi ostatecznego wybuchu, w jakim mógłby dopuścić się czegoś, co zmusiłoby stojącego z boku Ambreliego, by dać mu w pysk. — Ja mam w rękach twoje życie. I życie tego bachora.

— Co chcesz z nią zrobić?! — Sentylia wybuchnęła płaczem.

Jej córeczka jakby zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa, gdyż zaczęła wrzeszczeć w niebogłosy.

— Będzie inwestycją dla narodu rajdersów — Kifidir przesunął ręce do przodu, chcąc zagarnąć dziecko do siebie. — Zapewni nam bezpieczeństwo, bo vandiry nigdy nie odważą się nam zaszkodzić, gdy będę miał ich pradawnego władcę.

Wyczuwająca zamiary admirała Sentylia przycisnęła dziecko mocniej do piersi, odsuwając je tym samym od niego. Ten warknął zły z powodu jej rozpaczliwego, obronnego manewru. Rajders został zmuszony do tego, żeby przysunąć się do niej bliżej, ale było to dla niego bolesne z powodu świeżej rany w nodze.

— Jeżeli w małej jest duch Baltizaura, pana krwi, to nie zatrzymasz go samostrzałami i szablami swoich ludzi — Ambreli powstrzymał go swoimi słowami.

— Sprawdzę, jakie zagrożenie niesie to dziecko, zabierając je do naukowców lub arbitrów, duchowych przewodników naszego Legendum. Jeżeli nasze przypuszczenia się sprawdzą, wtedy się należycie zabezpieczę. — Kifidir był coraz bardziej uspokojony, ale już po chwili okazało się, że był to tylko podstęp.

Z dzikim rykiem admirał rzucił się do przodu i wydarł maleństwo z rąk Sentylii. W jej dygoczących dłoniach pozostał tylko ręcznik. Kifidir zaśmiał się i przywołał marynarzy. Ci zjawili się, nim Ambreli zdążył zareagować.

— Gdzie są akuszerka i instruktor? — admirał zadał im niespodziewane pytanie.

Jeden z marynarzy przejechał dłonią po szyi i wywalił język.

— Bardzo dobrze! Zbyt dużo słyszeli.

— Co wy mówiliście, admirale, o jakimś panu krwi? — marynarz, który odważył się odezwać, był pierwszym przychodzącym mu z pomocą przy wstawaniu.

— To nic takiego — Kifidir uśmiechnął się głupawo, przyciskając do pierś dziecko. Nie był zdolny do szczerości nawet wobec swoich ludzi, bo bał się, że ich nadmierna wiedza mogłaby być zapłonem do zdrady. — To ludowy przesąd z Grywic, miasta tej dziewczyny.

Wyszli. Ambreli podszedł do Sentylii, która dusiła się własnym płaczem. Jej miotające się ręce nie mogły odnaleźć tego, co zostało jej brutalnie i bezprawnie zabrane. Naczelnik nie miał ochoty uspokajać jej, nie potrafił też wymyśleć nic sensownego, co należałoby w takiej sytuacji powiedzieć.

— Naczelniku — zwróciła się do niego słabo. Jej oblicze było tak blade, że prawie przezroczyste, a policzki strasznie zapadłe, co powodowało, że przy wprawianiu ust w ruch wszystko wyraźnie dygotało. — Mam prośbę — przechyliła głowę w bok, wpatrując się w ścianę. Jej oddech był niespokojny, ale cichy. — Zabierz mnie do moich marzeń.

— A jakie są twoje marzenia? — naczelnik powiódł oczyma za spojrzeniem kobiety, a gdy ponownie spojrzął na jej twarz, dostrzegł zastygłe mięśnie twarzy. — Sentylio? — załkał Ambreli

Nie doczekał się odpowiedzi. Zanim naczelnik sprawdził puls, spodziewał się tylko jednego. Miał rację. Sentylia odeszła. Ostatnia rzecz, jaką dokonała w ziemskim żywocie, była najważniejszą, jaką udało jej się dokonać. Urodziła dziecko. Dziecko, które nie miało nawet imienia, lecz tak wysoką pozycję, że całe narody mogły się o nie bić w zażartych bojach.

* * *

D'Agostino, chociaż przebywał w przykrytej dziurze, miał pojęcie o zachodzących zmianach. Cykl dnia i nocy ujawniał się mu przez szpary w słomianej konstrukcji nałożonej przez grabarza, jakby rajdersowi zależało na tym, by elf posiadał świadomość upływającego czasu.

„Żyję, i to jest najważniejsze” — pocieszał się w duchu. Obrósł w nadzieję, mimo, że był targany niepewnymi emocjami. Skoro bowiem grabarz nie przysypał go piaskiem, miał co do niego inne plany. Co to mogło być? I czemu inspektor się na to zgodził?

„Żyję, i to jest najważniejsze” — powtórzył sam do siebie, nie zważając na niewygodę, które mimo paraliżu dawały mu się we znaki. Odbierał już bodźce ze środowiska, chociaż nie mógł o nich nikomu opowiedzieć.

„Żyję, i to jest najważniejsze” — D'Agostino zastanowił się, ile razy przyjdzie mu powtórzyć to mobilizujące go hasło, zanim wydarzy się coś, co zmieni jego położenie.

Szarość w szczelinach drewnianych listew i słomianych plecionek przeszła w czerni, czystą i niezmaconą. Zapadła noc. D'Agostino zaczął obawiać się, czy długie urzędowanie w dole z ziemi nie odbije się na jego organizmie. Do tego jeszcze dorzucił do zmartwień lęk przed ulewą, która spowodowałaby zalewający go niechybnie wodospad deszczu. Wtedy począł błagać Jasność o interwencję: „Ześlij na moją siostrę krótki sen, bym mógł stąd wyjść i dostać się do rodaków w Citadelle. Mogłbym im opowiedzieć o mojej kłątwie i na pewno uwierzyliby”.

Usłyszał szelest słomy. Wiatr? Deszcz? Wykluczył obie wersje, gdyż dochodzący go hałas był zbyt nieregularny i dobitny, by mógł być spowodowany zjawiskami pogodowymi. Zwierzę?! Na obrzeżach miasta, nawet tak dużego i rozwiniętego jak Sun Cannela, mogły przebywać sporych rozmiarów drapieżniki. Na cmentarzu, wśród roślinności i imitujących skały nagrobków panowały dlań doskonałe warunki bytowania.

Zadaszenie nad nim poruszyło się. Najpierw było to nieznaczne drgnięcie, ale z czasem nasiliło się. Deska została przesunięta na bok. D'Agostino mógł zobaczyć spory odcinek nieba pokrytego mrowiem migoczących kropek.

— Tyle wystarczy, będę schodził — przemówił jakiś podekscytowany głos, po czym nastąpiło całkowite odepchnięcie drewnianego nakrycia dziury.

Niedługo potem, zgodnie z zapowiedzią, pojawiła się drabina. Po chwili ktoś sprawnie zaczął po niej schodzić.

— Ale on jest duży!

— Ogromny! — poprawił człowiek na górze, jakby miało to jakiegokolwiek znaczenie.

Ten pochylający się nad dziurą oświetlał drugiemu drogę lampą oliwną, więc D'Agostino mógł dostrzec jego twarz. To był grabarz.

— Miałeś słuszność, żeby zabrać wałacha — człowiek zszedł do dołu i przyglądał się dokładnie elfowi, nie podejrzewając nawet, iż sam jest obserwowany.

Rajders miał parszywą gębę, której największą „ozdobą” był złamany nos. Nosił też mundur strażnika miejskiego. Przysłał go więc Wiltson.

— Przywiąż go, a potem koń go wyciągnie — polecił grabarz, oświetlając ciemną dziurę, by ułatwić współpracownikowi zadanie. — I pospiesz się.

— Gdyby moja stara mnie teraz widziała! — gość ze złamanym nosem sprawnie uporał się z obwiązaniem D’Agostino, na co pozwalała spora szerokość wykopu. — Gotowe!

— Miałeś nikomu nie mówić, co robimy! — zagrzmiął grabarz z góry, po czym zaklął dwa razy i zgasił lampę.

— Nie mówiłem — zastrzegł się mężczyzna na dole. — Przysięgam, Benuvine, że nikt nie wie. Komu miałbym się chwalić, że będę robił za przewoźnika zwłok? — i zaczął włączyć po drabinie, której szczeble wyginały się i trzeszczały pod naciskiem jego stóp. — Zresztą inspektor wyczulał mnie, bym był cicho.

D’Agostino, słysząc to, miał pragnienie, by wiązania tego łachudry były solidniejsze. Inaczej mógłby spaść i coś połamać, gdy zaczną go wciągać. Drabina została podniesiona, a grabarz Benuvine dał sygnał wałachowi, by ten zaczął podnosić ciało elfa. Lot w górę był piękny, gdyż uwalniał go od tej przeklętej dziury i na dodatek podarował mu namiastkę sprawności cielesnej. Dwaj rajdersi wsadzili go do największej taczki, jaką w życiu widział, po czym zakryli tkaniną zalatującą piżmem.

— Nie wiem tylko, czemu właśnie mnie najął do tej roboty? — zrzędził ten ze złamanym nosem w asyście odgłosów szuranej drabiny. Chyba musieli ją mocować do konia, gdyż D’Agostino nie wyczuwał jej nacisku na swoim ciele. — Nie o takiej robocie się marzy, gdy się idzie na strażnika miejskiego. Eh, może i czasem nie można wybrzydzać, ale, kurwa, czemu jednak ja?

— Bo, jak sam zauważyłeś, czasem nie można wybrzydzać — odparł Benuvine wesoło i taczka została wprawiona w ruch. Męskie sapanie z tyłu wskazywało na to, iż nie ciągnął go koń, lecz popychał człowiek.

Podróż była uciążliwa, bo ułożono go twarzą do dna taczki, gdzie poza rdzą i żelazem czekały na niego jakieś śliskie paskudztwa. A do tego były jeszcze wyboje, na których kaleczył sobie twarz. Ustały rozmowy rajdersów i tylko marudzenie grabarza Benuvine dowodziło obecności zbirów. Musieli przebyć drogę długą na kilka kilometrów, gdyż wszystko trwało długo, a tempo jazdy w taczce było powolne.

„Opuściliśmy cmentarz” — D’Agostino marzył, by mający prezencję zbirów ludzie okazali się mieć gołobie serca. To mogłoby oznaczać, że zabierają go gdzieś, gdzie uzyska pomoc. Wątpił, by był to garnizon elfów. Nagle usłyszał łagodny szelest z przodu.

— Masz ciało? — usłyszał pytanie. Jego adresat, czyli grabarz, odpowiedział efektownym łomotem w ciało elfa, znajdujące się ciągle pod jakimś przykryciem. — To dobrze. A gdzie człowiek, który pomagał ci go wyciągać? Mówiłeś, że na dzisiejszy wypad pójdziesz z człowiekiem ze straży.

— Bo to prawda, sam nie dałbym sobie rady.

— To gdzie on jest? — zapytał nieznajomy rajders głosem przypominającym beczenie konającej kozy.

— Zostawił mnie, gdy opuściliśmy cmentarz — odpowiedział Benuvine, ściągając płachtę. Złapał D'Agostino za nogi i dorzucił z obsesyjną dumą: — Całą drogę musiałem go pchać, a jest ciężki jak cholera. Ma na sobie zbroję kawalerii. Szkoda, że nie jest do rozbicia. Zrobiłbym sobie z niej kilka garnków, bo moje są już poprzepalane.

— Dobra, zabierzmy go z plaży na łódź.

D'Agostino został wyciągnięty z taczki i wniesiony na schody wykute bezpośrednio w skale, przez które przepływały wąskie strumyczki wody. Twarz miał zwróconą do dołu, ale widział obuwie człowieka, do którego przywiózł go grabarz. Zachybotął się, kiedy grabarz pośliznął się na mokrej nawierzchni.

— Uważaj trochę — burknął rajders, a elf został przekreślony twarzą w bok. Nadal nie widział drugiego rajdersa, ale wreszcie miał okazję zobaczenia domu, do którego zmierzali, a także prowadzącej do niego drogi.

Byli na jeziorze i szli po skałach ledwo wystających spod wody. Przed nimi majaczyła zaś konstrukcja wyjęta z norm fantazji. Podstawa przypominająca końskie kopyto była wejściem. Nad nim znajdował się taras. Nad tym z kolei znajdowała się jedna ze ścian podporowych wyżej umieszczonej krzyżówki łodzi z domem oraz trap prowadzący do jej wnętrza.

Dom był karykaturalny z powodu swoich proporcji, a jego opływowa konstrukcja ze srebrną fasadą przywoływała na myśl szablę. Było nawet coś na jego tyłach, co wzorowało się na rękojeści. Nad całością górował zaś nabrzmiały worek o rozmiarach zamku i krzykliwych, niebiesko-żółtych pasach. Pod srebrnym kadłubem lub pod fundamentami — w zależności od tego, czy zaliczało się ten obiekt do łodzi czy domu — wisiały i falowały lekko dwie wstęgi z napisami: „Aleja Ostatniej Drogi Osiem” oraz „Własność Evory”.

Weszli przez wysoki próg „kopyta”, później wznosili się coraz wyżej, co znaczyło, że zmierzali na taras. Pokonali go, weszli na trap, pokonali drzwi wejściowe do domu i tam postawili D'Agostina pionowo. Przypadkiem któryś z nich uderzył go w twarz i głowa mu opadła. Stracił zatem możliwość przyjrzenia się twarzy nieznanego, który bardzo go intrygował.

Uzyskał przynajmniej widok na swoje ciało. Dwie pary rąk przeciągnęły gumowe pasy pod jego pachami i zapięły je w połowie, opierając go plecami o jakąś twardą powierzchnię. Przygwożdżono go nimi w pozycji pionowej.

— Zależało mi na zdobyciu uskrzydłonego elfa, jednakże nigdy nie spodziewałem się, że któryś z nich zostanie pochowany na naszym cmentarzu — człowiek podniósł głowę elfa, by zapiąć jeszcze jeden pas na jego szyi.

D'Agostino stanął przed szansą przyjrzenia się rajdersowi, który kazał przynieść jego ciało do swojego domu. Ręka rajdersa, muskająca skórę na podbródku, nie zasłaniała znajdującej się tam białej blizny, która biegła aż do mocno zdeformowanej dolnej wargi. Górnej wargi też prawie wcale nie było, a odsłonięte zęby nie należały do naturalnych. Ich przezroczystość mogłaby zostać jeszcze wytłumaczona szklivem, jednakże braku siekaczy i kłów nie szło wytłumaczyć zwykłą niedbałością o uzębienie. Wyżej, nad zmasakrowanymi ustami pełnymi sztucznych zębów, znajdował się szeroki nos. Oczy rajdersa były rude, podobnie jak rozwichrzony włosy

na głowie, które z jednej strony były kręcone i sięgały ramienia, zaś z drugiej miały długość dłoni i składały się z prostych włosów. Z tyłu część z nich została spięta w kucyk.

Rajders ów był młody, choć postarzał go brak warg. Nosił też dziwny kapelusz z wąskoskrzydłowym, słomianym rondem, a centralna jego część została wycięta, przez co rajdersowi ze szczytu głowy wychodziły włosy i rozkładały się ze wszystkich stron na daszku.

— Jestem dargraczem o tytule profesora... profesor Metrix Evora. Niedługo ośmielę się podważyć zasady życia i śmierci — przedstawił się po wyjściu grabarza, jakby na zawołanie, właściciel dziwnego kapelusza i popielatego płaszcza o dwubarwnym rękawie. — Zrobię to, przywracając cię do życia.